

Michał Kuź: Wizja „końca historii” nie była ani realna, ani do końca uczciwa

Kompromis, który obecnie upada, wyłonił się po II wojnie światowej. Teraz gra toczy się o to, aby nie zapłacić tak wysokiej ceny. Należy rozpocząć otwartą rozmowę na temat nowego ładu światowego zanim ten obecny spektakularnie się rozpadnie. Trwanie w zaprzeczeniu i wyparciu doprowadzi do serii bardzo bolesnych i niebezpiecznych przeciążeń – mówi dr Michał Kuź w wywiadzie przeprowadzonym dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Stary (nie)porządek.

Jan Fiedorczuk (Teologia Polityczna): Wydarzenia ostatnich lat zdecydowanie świadczą o tym, że historia przyśpieszyła.

Obserwujemy nowe linie sporów, nowe podziały. W jednym ze swoich tekstów na łamach „Nowej Konfederacji” stwierdził Pan, że główny podział, jaki obecnie obserwujemy, ogniskuje się w dwóch wrogich obozach: globalizmu oraz lokalizmu. Czy mógłby Pan przybliżyć tę koncepcję?

dr Michał Kuź (Nowa Konfederacja): Wydaje się, że pewien podział na „prawicę” i „lewicę” utrwalony po II wojnie światowej, a sięgający jeszcze Rewolucji Francuskiej, jest obecnie podważany. W klasycznym rozumieniu możemy mówić o „prawicy” jako formacji, która – w okresie powojennym – stawiała na wolny rynek, niezależność, tradycję, obyczajowy konserwatyzm oraz dosyć silną rolę autorytetu. „Lewica” natomiast opowiadała się za większą rolą państwa w gospodarce,

redystrybucją dochodów, ale jednocześnie podważała tabu moralne i obyczajowe; opowiadała się za emancypacją nie tylko ekonomiczną, ale również dotyczącą szeroko pojętej tradycyjnej obyczajowości i narodowej tożsamości. Ten podział został zachwiany po raz pierwszy przez nową lewicę oraz zachodnią socjaldemokrację, które postanowiły pójść na kompromis z ekonomicznymi propozycjami drugiego obozu, propozycjami określanymi jako neoliberalne. Z tego kompromisu narodziło się myślenie, które łączy emancypacyjne hasła lewicowe, ale jednocześnie opowiada się za globalizacją i zmniejszeniem roli państwa. Zatem opowiada się za lewicową obyczajowością, a jednocześnie za neoliberalnymi postulatami w sferze gospodarczej. Postuluje ograniczenie roli państwa i poddanie władzy państwowej pod kontrolę ciał międzynarodowych. Ten styl myślenia był coraz bardziej widoczny wśród ugrupowań socjaldemokratycznych, aż w końcu się wyabstrahował i zaczął wypychać starą socjaldemokrację na margines, co mogliśmy obserwować, chociażby, w ostatnich wyborach we Francji. Spowodowało to, że interesy ludzi, którzy stracili na globalizacji, znalazły się niejako na ulicy. Liberałowie ich nie podnieśli, bo przecież nie mogli, a socjaldemokracja została sama w kwestiach ekonomicznych zarażona gospodarczym neoliberalizmem. W efekcie teraz obserwujemy, jak prawica staje się coraz bardziej populistyczna. Zaznaczam jednak, że nie traktuję tego pojęcia jako inwektywy. Prawica staje się populistyczna w tym względzie, że podnosi hasła socjalne porzucone przez lewicę. Jednakże skoro już tak daleko odchodzimy od klasycznego podziału politycznego, to być może nie możemy już się posługiwać pojęciami „prawica”-„lewica”.

W jaki sposób zatem te aspekty ekonomiczne przekładają się na proponowany przez Pana podział?

Mamy podział na pewne lokalne zakorzenienie i próbę obrony praw socjalnych przed siłami globalizacji oraz na siły emancypacji głoszące hasła indywidualistyczne, które równocześnie akceptują bardzo silne i niesprawiedliwe, przynajmniej z punktu widzenia klasycznej lewicy, globalne konsekwencje podziału zasobów. Opcje globalizm-lokalizm mają również swoje odmiany, podtypy libertariańskie. Gdybyśmy podzielili nowoczesną scenę polityczną na cztery części, to jeden podział szedłby po linii globalizm-lokalizm, a z drugiej strony mielibyśmy podział na libertarianizm globalistyczny i lokalistyczny. Według mojej koncepcji libertarianizm lokalistyczny to odmiana lokalizmu, która pokłada nadzieję w subpaństwowych wspólnotach, takich jak choćby wspólnoty miejskie. Z kolei klasyczny lokalizm pokłada nadzieję raczej w państwie narodowym, ewentualnie w myśleniu religijnym. Natomiast libertarianizm globalistyczny to klasyczny libertarianizm opowiadający się za minimalną rolą państwa, twierdzący zarazem, że jednostka jest w stanie sobie poradzić z każdym problemem pod warunkiem, że zagwarantuje się jej wolność. Możemy umownie nazwać ten libertarianizm korwinowskim. Klasyczny globalizm pokłada zaś nadzieję w organizacjach międzynarodowych i oderwaniu się od państw narodowych. Opowiada się też za sieciowym zarządzaniem, co niestety prowadzi do redukcji sfery demokracji. Zmniejszając rolę państwa narodowego, chcąc nie chcąc, póki co musimy się bowiem godzić na deficyt demokracji i często na pogorszenie sytuacji ludzi gorzej sytuowanych oraz klasy średniej mieszkających w tym państwie. Możemy potem oczywiście takie działania uzasadniać globalną sprawiedliwością mówiąc np., że Europa jest coś winna imigrantom lub też mądrością etapu, mówiąc, że np. UE wprawdzie cierpi na deficyt demokracji, ale to tylko przejściowe problemy. W USA Trump w pewnym sensie jest odpowiedzią na ten stan rzeczy, choć jest bardziej odpowiedzią zagrożonej amerykańskiej

klasy nisko-średniej niż najniższej. Trump owszem, stara się ciąć programy socjalne, ale jednocześnie podejmuje działania, które są nakierowane na tworzenie miejsc pracy dla przedstawicieli niższej klasy średniej, co odbywa się kosztem międzynarodowych organizacji.

Czy możemy zatem stwierdzić, że Trump jest „globalnym” przywódcą lokalistów?

W dużym stopniu tak to właśnie wygląda. Należy natomiast mieć świadomość, że tak jak się mówiło o różnych odmianach kapitalizmu, czy różnych odmianach idei narodowych, tak są różne odmiany lokalizmu. W amerykańskiej tradycji nie jest przyjęte oczekiwanie od państwa szerokiej redystrybucji w sensie dosłownym. Taki program jak „500+” byłby niezwykle kontrowersyjny dla Republikanów. Trump stara się więc spełnić swoje obietnice przez działania pośrednie. Ograniczenie migracji i gospodarczy protekcjonizm to jeden przykład. Inwestycje państwowe w obronność, co ma dodatkowo zwiększyć zatrudnienie, to kolejny element. Powrót do tanich lub, jak chcą inni, pozornie tanich źródeł energii, aby obniżyć jej koszty dla największej ilości konsumentów, także wpisuje się w ten trend.

A jak te kwestie wyglądają w perspektywie polskiej sceny politycznej?

Prawo i Sprawiedliwość, mimo iż jest „starą” partią, to ewidentnie przejęło hasła lokalistyczne. W tej partii istnieje pewna tradycja państwowej redystrybucji. Zauważmy jednak, że w okresie pierwszych rządów PiS neoliberalizm był jeszcze w pełni uznawany przez tę partię

polityką gospodarczą. Dopiero teraz pojawiła się zmiana i wielki powrót do państwa, również w kwestiach gospodarczych. Analogicznie intelektualne ośrodki związane z prezydentem Trumpem, jak choćby „American Greatness,” podkreślają wagę państw narodowych oraz przeświadczenie, że obecna wizja globalizacji przestała służyć zwykłym ludziom.

Czy Trump gra zatem na powrót do formuły państw narodowych? Do nowego koncertu mocarstw?

Główny problem z dzisiejszym globalizmem polega na tym, że nie rozwiązywał on kluczowych politycznych sporów późnej nowoczesności, a jedynie zaprzeczał ich istnieniu

Myślenie analogiami jest zawsze niebezpieczne. Historia nigdy się nie powtarza, tylko przypomina pewne motywy. Podobnie formy polityczne nie powtarzają się w sposób dosłowny.

Dlatego myślenie, że powrócimy teraz do koncertu mocarstw, niczym w XIX wieku, lub do państw narodowych, jak na początku wieku XX, przypomina trochę twierdzenie, że zaraz wrócimy do greckiego polis i będziemy mieli demokrację jak za czasów Peryklesa. To nigdy nie jest takie proste. Niewątpliwie pojawia się jednak przekonanie, że ta liberalna gra, która przerodziła się w globalizm, podlega pewnemu zwyrodnieniu. Wydaje się, że podczas przejścia od klasycznego liberalizmu, poprzez neoliberalizm aż po dojrzały globalizm wypaczeniu uległy pewne koncepcje, które u swego zarania były całkiem zdroworozsądkowe i służyły ludziom.

Mógłby Pan przybliżyć ten pogląd? W jaki sposób neoliberalizm, który jeszcze kilka, kilkanaście lat temu wydawał się bezalternatywną wizją świata mógł do siebie zrazić całe masy?

Pojawiło się chyba przekonanie, że liberalny ład nie był do końca uczciwy. W tym sensie, że mówił, iż zmierzamy w kierunku końca historii, w którym nie będzie ostrych nacjonalizmów, nie będzie walki klas ani kolonializmu czy imperializmu. Mieliśmy iść w kierunku świata opisywanego przez Fukuyamę, którego esej możemy postrzegać jako pewien manifest globalistyczny. Co prawda sam Fukuyama się później od niego dystansował, ale na początku lat 90 w pewien sposób przemówił przez niego Zeitgeist tamtych czasów. Ta wizja nie była jednak realna, ani też do końca uczciwa. Dawni potężni gracze nadal potrafili o siebie zadbać, wcale nie rozpuszczając ich w nowym świecie „końca historii”. Okazało się, w największym skrócie, że kapitał umie bronić swoich interesów, a najsilniejsze państwa potrafią tak grać, by pod pozorem globalizacji działać na własną korzyść.

To znaczy? W jaki sposób fukuyamowska wizja została zakwestionowana przez tych potężnych graczy?

Klasycznym przykładem tej sytuacji w Europie jest gospodarcza dominacja Niemiec. Nagle okazało się, że na strefie euro korzysta głównie jedna gospodarka, że powojenne długi niemieckie były bardzo szybko i sprawnie umarzone, a choćby najnowsze długi greckie już nie, że Niemcy nie wahały się ratować ekonomicznie wschodnich landów po zjednoczeniu, ale już Grecję zepchnęły w odmęty kryzysu. Na szczeblu globalnym podobnie postrzegane są przez niektórych Stany

Zjednoczone. Na to nakłada się jeszcze pojęcie *soft power*. Twierdzono, że twarda siła zostanie stopniowo zastąpiona siłą miękką. Okazało się jednak, że jeżeli przejrzymy rankingi owej *soft power*, to przodują w nich dawne potęgi kolonialne. W XIX wieku dołączyły oczywiście Stany Zjednoczone, ale to jedyny taki przypadek. Gdzieś koło 20 miejsca dopiero doganiają je wschodzące potęgi. To wszystko podminowało tezę o „końcu historii”. Do tego dochodzi czynnik polityczny, zgodnie z którym im bardziej próbujemy się w krajach peryferyjnych oddalić od państwa narodowego, tym mniej mamy demokracji i solidarności.

W jaki sposób idea państwa narodowego przekłada się na poziom demokracji i solidarności w społeczeństwach?

Jeśli popatrzymy na kraje, które zbudowały najsprawniej działające systemy redystrybucji, to okazuje się, że właśnie te państwa w momencie tworzenia owych systemów socjalnych były dość mocno homogeniczne pod względem tożsamości politycznej. Państwo narodowe powstało nie po to, żeby kogoś na siebie napuszczać, jak to się często teraz sugeruje, tylko po to, aby wytworzyć środowisko, w którym bogacz dostrzeże brata w biedaku. Socjalizm udawał się tam, gdzie ludzie czuli się jedną zbiorowością, jednym narodem politycznym. Oczywiście nie zawsze decydowały kwestie etniczne. Koncepcja narodu politycznego składa się w różnych proporcjach z elementów językowych, etnicznych i kulturowych. Solidarność następowała jednak dopiero po zbudowaniu wspólnoty politycznej opartej o pewne symbole, które nie są do końca racjonalne. Podobnie jest z demokracją. Demokracja działa jako w miarę sprawny system, jeżeli jest mniej różnic do pokonania. Tocqueville’owski mariaż liberalizmu z demokracją był pewnym małżeństwem z rozsądku. Teraz

na naszych oczach to małżeństwo się rozpada. Współczesny globalistyczny liberalizm chce wyabstrahować jednostkę ze społeczeństwa, ale przez to poświęca demokrację i myślenie socjalne.

Czy lokaliści mają odpowiedź na wyzwania XXI wieku?

Nie jesteśmy, oczywiście, w stanie uciec od globalizacji. Nie wyłączymy Internetu, nie przestaniemy latać samolotami. Pojawia się jednak ważne zagadnienie: jak sprawić, aby globalizacja nie prowadziła do zmniejszania pola demokracji, jak zbudować pewną solidarność? W historii były momenty, gdy takie pytania się pojawiały. Choćby powstanie Stanów Zjednoczonych było próbą odpowiedzi na pytanie postawione przez Monteskiusza, czyli jak sprawić, żeby z jednej strony ciało polityczne miało tyle etosu obywatelskiego co mała republika, a z drugiej strony było na tyle silne, by sprostać wyzwaniom, które stawia środowisko międzynarodowe. Odpowiedzią było stworzenie federacji. Oczywiście w przypadku Stanów Zjednoczonych mamy do czynienia z większą homogenicznością kulturową, niż w przypadku Europy, gdzie powinniśmy mówić raczej o luźniejszej konfederacji. W każdym razie nie uważam, aby odpowiedzią na globalizację był prosty powrót do koncertu mocarstw. Odpowiedzią raczej byłoby porzucenie pewnych pozorów, przyznanie się szczerze, że nie będziemy nigdy żyli w pełni homogenicznej ludzkości, że być może nie powinniśmy do tego nawet dążyć. Za tym idzie regionalizacja. Nie oszukujmy się, słabsze państwa muszą ze sobą współpracować, aby tworzyć realną konkurencję dla silniejszych graczy. Należy zacząć myśleć o tym, jak walczyć o to, co było dla nas tak ważne w XX wieku, czyli o demokrację i większą równość między ludźmi. Niestety obecna lewica czując, że nie może się przeciwstawić neoliberalizmowi, zaczęła szukać zastępczych nierówności. Czyli nie zajmuje się tym, jak wiele osób w USA straciło

pracę, jak bardzo zmniejszyła się klasa średnia, jak wielu ludzi żyje w gorszych warunkach niż 10 lat temu, ale zajmuje się tym, jakie pomniki stoją w południowych miastach oraz tym, czy w budynkach publicznych jest toaleta dla trzeciej płci. To jest ten sposób myślenia, który strasznie utrudnia debatę. Zdaję sobie sprawę, że obóz lokalistyczny irytuje globalistów tym, że podważa dogmaty poprawności politycznej, ale z drugiej strony problem z obozem globalistycznym jest taki, że jego członkowie nie chcą otwarcie rozmawiać o rzeczywistości politycznej, do której zmierzamy; nie chce budować konsensusu, a bez porozumienia będziemy mieli kolejne wojny i rewolucje. Podobnie jak to miało miejsce w latach 30-tych, do których to obecna sytuacja jest często porównywana. Nieuczciwość globalizmu polega na tym, że nie mówimy o dwóch głównych problemach, czyli o deficycie demokracji oraz rosnących nierównościach społecznych, a w dyskursie liberalnym nadal jako główne zagrożenia dla wolności przedstawiane są państwo narodowe i widmo państwowego totalitaryzmu oraz „okowy” religii. Można mówić o analogiach historycznych pewne jest jednak, że nie jesteśmy dosłownie w latach 30-tych, gdyż państwo narodowe nie jest największym zagrożeniem dla zwykłych ludzi. Należy zadać pytanie, kto narusza bardziej moją prywatność: pani zadająca pytania w ramach spisu powszechnego, czy może jednak Google, które wie wszystko o moich preferencjach? Kto bardziej zagraża mojej swobodzie ekonomicznej – państwo nakładające podatki, czy bank wciskający niedoinformowanemu klientowi kredyt, który przemienia człowieka wolnego w nowego chłopca pańszczyźnianego?

Czyli odpowiedzią na dzisiejsze problemy może być wyłącznie konsensus osiągnięty pomiędzy obiema stronami? Konsensus pomiędzy zwolennikami globalizmu a lokalizmu? Czy takie porozumienie jest w ogóle możliwe?

Pewien kompromis zawsze się w końcu wyłania. Kompromis, który obecnie upada, wyłonił się po II wojnie światowej. Teraz gra toczy się o to, aby nie zapłacić tak wysokiej ceny. Należy rozpocząć otwartą rozmowę na temat nowego ładu światowego zanim ten obecny spektakularnie się rozpadnie. Trwanie w zaprzeczeniu i wyparciu doprowadzi do serii bardzo bolesnych i niebezpiecznych przeciążeń. Pewną nadzieję daje mi fakt, że w przeszłości wewnątrzpaństwowa polityka także była niezwykle brutalna, z czasem udało się jednak wytworzyć mechanizmy, które pozwalały na wymianę elit bez konieczności toczenia wojen domowych. Globalny ład jeszcze nie wypracował takich mechanizmów, a myślę, że powinien. Takie przekonanie, że wszyscy idziemy w kierunku jednej globalizacji, która będzie dobra dla każdego, jest po prostu nieuczciwe. Musimy się pogodzić z tym, że na forum globalnym zawsze będą występować sprzeczne interesy. Zamiast je ignorować, powinniśmy raczej spróbować wykorzystać energię sporu do czegoś produktywnego. Główny problem z dzisiejszym globalizmem polega zaś na tym, że nie rozwiązywał on kluczowych politycznych sporów późnej nowoczesności, a jedynie zaprzeczał ich istnieniu.

Rozmawiał Jan Fiedorczuk

[1] Podobną typologię przyjmuje też J. Flis, *Antynomie sprzeciwu*, „Studia Socjologiczne i Politologiczne. Seria Nowa”, nr 1 (03)/2015, s. 93-103.